

# Historia jednego drzewa

## *Był skwer*

Osiedle, na którym mieszkam (Bałuty-Doły, okolice ulic Wojska Polskiego, Marynarskiej i Organizacji "WiN") powstało w pierwszej połowie lat 50-tych XX wieku. Zaprojektowane jako kombinacja tradycyjnych ulic, ze sklepami na parterach budynków, bloków z charakterystycznymi bramami, ułatwiającymi przejście i rozległych terenów zielonych między budynkami, okazało się bardzo udanym rozwiązaniem urbanistycznym. Każdy z mieszkańców ma w pobliżu domu podstawowe sklepy i usługi, za oknem sporo zieleni, dużo drzew i łatwą komunikację pieszą.

Jednym z większych terenów zielonych pomiędzy blokami był skwer przy uliczce Komunardów. Pełnił on także funkcje gospodarcze - na obrzeżach znajdowały się śmietniki, trzepaki, zatoczka, zapewniająca dojazd do piekarni i kilka miejsc parkingowych. Większą część terenu zajmowały jednak trawniki, krzewy i drzewa, w tym centralnie położona duża topola.

### Skwer w 2012r.



Było tu jeszcze sporo zieleni. Widoczne drzewa, częściowo zachowane trawniki, dawny kwietnik



Duża część terenu była już jednak zdewastowana.

Niestety, skwer, będący własnością miasta, był przez lata zaniedbywany, zapewne wskutek swojego położenia na uboczu, przy niewielkiej uliczce między blokami. Jedyne prace, jakie prowadziły służby miejskie na jego terenie, to koszenie trawników, często zresztą wykonywane w sposób przynoszący więcej szkody niż pożytku. W rezultacie lat zaniedbań krawężniki, oddzielające trawniki od alejek, pozapadały się, trzepaki zardzewiały, śmietniki i piaskownica dla dzieci przeszły w stan ruiny, a od strony ulicy Komunardów zaczęło straszyć tyse klepisko, stopniowo powiększane przez parkujące chaotycznie samochody.

Tylko drzewa i krzewy rosły bez przeszkód, znajdując doskonałe warunki do wegetacji. Miało się to zmienić w chwili, gdy osiedle stało się przedmiotem planowej dewastacji, a jego układ urbanistyczny świadomie zniszczono z udziałem administracji miejskiej.

### ***Dewastacja jako strategia miasta***

Niemal oficjalną, całkiem jawnie deklarowaną strategią administracji miasta Łodzi wobec terenów komunalnych na osiedlach jest planowa dewastacja.

To niewiarygodnie brzmiące stwierdzenie nie jest wymysłem, insynuacją czy dalekim wnioskiem z niejasnych przesłanek. Jest ono prostym podsumowaniem wypowiedzi urzędników miejskich różnego szczebla, od wiceprezydenta poprzez dyrektora departamentu z dzielnicy Łódź-Bałuty aż do szeregowego pracownika Departamentu Gospodarowania Majątkiem.

Stanowisko wszystkich tych urzędników jest zgodne: od chwili, gdy budynki komunalne na osiedlach zostały wykupione przez mieszkańców i przeszły pod zarządek wspólnot mieszkaniowych, administracja miejska przestała poczuwać się w jakimkolwiek stopniu do obowiązku dbania o tereny na osiedlach, należące do miasta. Jak twierdzą urzędnicy, *to mieszkańcy niszczą swoje osiedla, więc to oni powinni je odnawiać, sami mieszkańcy najlepiej zadbają o swoje otoczenie i nade wszystko miasto wydaje nieproporcjonalnie dużo pieniędzy na utrzymywanie osiedli*. Urzędnicy są więc zdecydowani "niewłaściwy" stan rzeczy naprawić: kontestując swoje w tym względzie obowiązki, zaniechać jakichkolwiek prac konserwacyjnych na osiedlach. W zamian za to proponują mieszkańcom przejęcie terenów w drodze użyczenia lub dzierżawy. Innymi słowy - publiczne tereny na osiedlach celowo doprowadzane są do stanu dewastacji, dopóki zdesperowani mieszkańcy nie przejmą opieki nad nimi.

Strategia ta nie ogranicza się do bezczynności - administracja miejska programowo nie pozwala też na realizację żadnej inicjatywy mieszkańców, mającej poprawić - choćby ich własnym sumptem - warunki na osiedlach. Nawet na tak proste zabiegi jak zaznaczenie białą farbą miejsc parkingowych nie ma zgody - bo bardziej zadbanej teren jest dla miasta droższy w utrzymaniu, a mieszkańcy mają mniejszą motywację do jego przejmowania.

## Strategia dewastacji w działaniu



Ruiny śmietnika przez lata straszące przed naszym blokiem. Administracja miejska nie zgadzała się ani na remont, ani na wyburzenie walącej się rudery. Jedyną alternatywą było przejęcie terenu przez wspólnoty mieszkaniowe - co też w końcu nastąpiło.

Docelowa wizja łódzkich urzędników jest jasna: *osiedla mieszkaniowe powinny funkcjonować na takich zasadach jak osiedla domków jednorodzinnych*. Ze wszystkimi konsekwencjami.

### ***Płoty***

Jednym ze skutków rozdrapywania komunalnych terenów na osiedlach jest ich niezwłoczne grodzenie, za pełnym przyzwoleniem miejskiej administracji. O ile urzędnicy są przekonani, że osiedla niszczą mieszkańcy, o tyle wielu mieszkańców wyznaje pogląd, że wszelkie szkody to dzieło "obcych", zatem po przejęciu terenu "nie postanie obca stopa na tym, com se zdobył z trudem"- stawia się płoty.

Mieszkańcom o tyle trudno się dziwić, że niełatwo w inny sposób utrzymać enklawę porządku i czystości w otaczającym morzu dewastacji i zaniedbania. Zagadką pozostaje, dlaczego władze miejskie tak ochoczo zgadzają się na masakrowanie publicznej przestrzeni, przegradzanie ciągów komunikacyjnych pieszych i nierzadko kołowych. Wszystko to dzieje się wszak na terenach, będących nadal własnością komunalną. Urzędnicy, w innych przypadkach znani z piętrenia trudności przed wszelkimi inwestycjami, w tych przypadkach nie zgłaszają sprzeciwów.

Nasze osiedle, zaprojektowane i dobrze służące ludziom jako otwarte, przyjazne, z łatwym dostępem do wszystkich budynków, jest od kilku lat niszczone przez kolejne ogrodzenia, płoty i zamknięte bramy. Oto kilka najbardziej drastycznych przykładów.

## **Przejścia nie ma**



Kilkusetmetrowej długości blok stanowił przeszkodę w komunikacji pieszej. Dlatego pośrodku budynku znajduje się brama. Brama została zagrodzona i zamknięta.



Uliczka po drugiej stronie budynku także nie jest już przejezdna - została w całości przekazana mieszkańcom budynku i wygrodzona.

## **Chodnik donikąd**



Otwartą przestrzeń między budynkami podzielono między dwie wspólnoty mieszkaniowe. Na granicy stanął płot - dzieląc teren po skosie, w poprzek alejek. Dawny ciąg komunikacyjny kończy się ślepo na siatce ogrodzeniowej.

## Długie mury



Ta uliczka była wygodnym skrótem do pobliskiego supermarketu. Wspólnota mieszkaniowa uzyskała - oprócz podwórka - teren po drugiej stronie z przeznaczeniem na śmietnik i dwumetrowej szerokości pas w poprzek uliczki. Na granicach pasa natychmiast postawiono ogrodzenie, przecinające drogę.

Administracja miejska deklaruje pełne poparcie dla tych i innych przykładów niszczenia przestrzeni publicznej. Na każde ogrodzenie wymagana jest jednak zgoda właściciela terenu, czyli miasta.

Indagowani w tej sprawie urzędnicy zdają się w ogóle nie dostrzegać problemu. Są raczej dumni, że coraz więcej miejsc przypomina *nowoczesne, bezpieczne, grodzone i strzeżone osiedla*. Na uwagi o utrudnianiu komunikacji reagują zdziwieniem: *przecież zawsze zostawiamy jakieś dojście do każdego budynku, najwyżej trzeba nadłożyć kilka minut drogi*. Że dla osoby starszej i mniej sprawnej - a sporo takich mieszka w okolicy - nadłożenie kilku minut drogi może być ponad siły, o tym już się w urzędach nie myśli. O tym, że ludzie mają niekiedy ochotę wyjść na spacer albo po zakupy wybraną przez siebie drogą, a nie tylko ulicami wzdłuż płotów, jak szczury w labiryncie, też się oczywiście nie myśli. Wszak docelowy wzorzec - osiedla domków jednorodzinnych - także mają przestrzeń publiczną ograniczoną do kilku ulic.

## Drzewa

Kiedyś, kiedy powstawały łódzkie osiedla, sadzono na nich drzewa. Dziś piękne, duże drzewa są dla miasta wrogami publicznymi. Nie da się ich łatwo rozjeździć i zdewastować jak trawników, co wiosną wypuszczają nowe zielone liście, które każdej jesieni opadają, narażając zarządców terenu na wydatki. Drzewa zniechęcają też wspólnoty mieszkaniowe do przejmowania terenów - zgodnie więc ze strategią dewastacji muszą one zostać zlikwidowane.

Zupełnie oficjalnie urzędnicy miejscy wyrażają pogląd, że istnienie dużych drzew na osiedlach mieszkaniowych jest *patologią, niespotykaną nigdzie na świecie* oraz że *jest rzeczą nienormalną, iż drzewa na osiedlach kosztują miasto więcej niż utrzymanie zieleni w parkach* - w związku z tym jeżeli tylko nadarzy się okazja usunięcia jakiegoś dużego drzewa, należy skwapliwie to zrobić.

Wielu mieszkańców przystaje na usuwanie drzew, z różnych powodów. Mając do wyboru teren za oknem zdewastowany ale z drzewami lub przejęcie go bez drzew, często wybierają to drugie.

Właściciele samochodów niechętnie widzą liście, spadające na zaparkowane auta. Dochodzi do tego umiejętnie podsycana obawa przed rzekomymi niebezpieczeństwami, jakimi grożą drzewa.

Zaskakująco często, tak z ust urzędników jak i mieszkańców, słyszy się zdanie niemal żywcem wzięte z filmu "Miś": *a gdyby tak jakieś dziecko bawiło się pod drzewem i właśnie wtedy przyszła trąba powietrzna...*

Najprościej jest zwyczajnie o drzewa nie dbać. Tak jak na naszym osiedlu, na pobliskim skwerze - pozwolić, aby zaatakowała i zniszczyła je jemioła, doprowadzić do uschnięcia konarów, następnie już bez żadnej wątpliwości można uznać drzewo za zagrożenie bezpieczeństwa i wyciąć. Na jego miejsce posadzi się młode drzewko i będzie spokój na następne kilkanaście lat. Jednak niektóre drzewa potrafią być zaskakująco odporne.

### ***Nasze drzewo***

Jednym z takich drzew była topola, rosnąca na skwerze przy ulicy Komunardów. Miała kilkadziesiąt lat, tylko najstarsi z mieszkańców pamiętają, kiedy była młodym drzewkiem. Rozrosła się pięknie, jej pień osiągnął prawie cztery metry obwodu. Drzewo nie tylko zieleniło się, szumiało i cieszyło oczy. W dużym stopniu definiowało ono cały teren jako zielony skwer, chroniąc sąsiadujące trawniki przed zupełnym rozjeżdżeniem. Właśnie dlatego musiało zniknąć.

Kilka lat temu służby miejskie postanowiły topolę przyciąć, usuwając jeden z trzech głównych konarów. Zrobiono to niechlujnie, konar po prostu wyłamano, w rozwidleniu powstała dziupla. Nie wyglądało jednak, żeby w jakimkolwiek stopniu przeszkadzało to drzewu.

W .maju 2007 roku na podwórko przyjechała ekipa z zamiarem wycięcia topoli. Powodem miała być owa dziupla, która rzekomo spowodowała całkowite wypróchnienie wnętrza pnia. Znalazło się jednak kilka osób, mieszkających w sąsiednim bloku, które nie dały wiary tym twierdzeniom i zażądały sprawdzenia. O dziwo, spełniono ich życzenia i drzewo zbadano, nawiercając świdrem przyrostowym. Okazało się, że pień jest całkowicie zdrowy. Nie pozostawało nic innego, jak topolę pozostawić - jednak "dla bezpieczeństwa" brutalnie ją przycięto, usuwając niemal całą koronę.

Ku radości jednych, a rozczarowaniu innych, drzewo przeżyło, wypuściło nowe gałęzie i rozrastało się dalej. I zaczęło komuś coraz bardziej przeszkadzać - właścicielom samochodów, którzy ponoć obawiali się spadających gałęzi, ale nie na tyle, żeby parkować swoje auta gdzie indziej niż na byłym trawniku pod drzewem. Zarządowi wspólnoty mieszkaniowej, który rad by przejąć większość podwórka, byle nic większego na nim nie rośło. I oczywiście miejskiej administracji.

Latem 2011 roku urzędnicy z dzielnicy ponownie postanowili wyciąć topolę jako rzekomo zagrażającą bezpieczeństwu. Uzyskali nawet zezwolenie od Wydziału Ochrony Środowiska i Rolnictwa, który bez dokładniejszego sprawdzenia przychylił się do wniosku. Kiedy miały rozpocząć się prace, okazało się, że zezwolenie jest już od kilku miesięcy nieaktualne. Ponadto, zaprotestowali mieszkańcy. Zebrano kilkadziesiąt podpisów osób, sprzeciwiających się wycięciu drzewa.

Pozostawała oczywiście kwestia stanu topoli i ewentualnych zagrożeń. Urzędnicy poprzestali na oględzinach drzewa z poziomu ziemi - nawet zajrzenie do dziupli, która miała grozić rozłamaniem pnia topoli, uznano za zbyt kosztowne. Administracja dzielnicy stanęła na kuriozalnym stanowisku, że *skoro mieszkańcy chcą zachować drzewo, to muszą sami wziąć na siebie odpowiedzialność za*



*wszelkie ewentualne szkody. W tej sytuacji wydano kolejne zezwolenie na wycięcie drzewa.*

### **Koleje losu topoli**



Wiosna 2007 - drzewo zostało brutalnie przycięte



Lato 2011 - topola zdołała się odbudować.

Wiosna 2012 - prześwietlono koronę i założono wiązania linowe

Tymczasem z inicjatywy mieszkańców i na ich koszt udało się wykonać rzetelną ekspertyzę drzewa, łącznie z dokładnym zbadaniem pnia za pomocą elektronicznej sondy. Badanie potwierdziło wynik

sprzed kilku lat - pień drzewa był zupełnie zdrowy. Nawet w krytycznym miejscu, w rejonie dziupli, pozostawało dobre pół metra litego, zdrowego drewna. Zagrożenie bezpieczeństwa nie istniało. Przy okazji okazało się, że drzewo stoi w takiej odległości od najbliższego budynku, iż katastroficzne wizje, jakoby jego odłamujące się konary mogły zburzyć pobliski blok, nie mają najmniejszego sensu.

Aby dodatkowo zabezpieczyć topolę na wypadek bardzo silnego wiatru, zaproponowano prześwietlenie korony i założenie wiązań linowych. Mieszkańcy byli zdecydowani sfinansować te prace, co spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem ze strony urzędników. Wykorzystując swój status właściciela terenu, miasto nie zgodziło się na zabezpieczenie drzewa.

Minęło kilka miesięcy, kilka reorganizacji w urzędzie miasta, kilka akcji na rzecz przyjaznych osiedli - i jakimś sposobem okazało się, że topolę można jednak pielęgnować i zabezpieczyć, i to na koszt miasta. Zrobiono to na wiosnę 2012 roku. Drzewo rosło od tego czasu bez przeszkód, przetrwało bez szwanku kilka silnych wichur, wydawało się, że problem został rozwiązany. Topola stanowiła prawdopodobnie mniejsze zagrożenie niż jakiekolwiek inne drzewo na osiedlu.

### ***Akcja "zmasakrowane podwórka"***

W końcu jednak urzędnicza akcja dewastacji i rozdzielania osiedli przyniosła spodziewane wyniki. Mieszkańcy mieli dość zaniedbanych osiedli, pordzewiałych i pokrzywionych trzepaków, zapadniętych chodników i krawężników, parkowania samochodów na coraz bardziej rozjeżdżonym klepisku pośrodku podwórka. Do tego doszło ultimatum, związane z wdrażaniem ustawy śmieciowej - zasugerowano, że każda wspólnota mieszkaniowa powinna mieć osobny, zamykany śmietnik, którego jednak miasto nie zamierza pozwolić zbudować na swoim terenie. Parcelacja osiedli ruszyła z kopyta, skwer przy Komunardów także rozdzielono między cztery wspólnoty mieszkaniowe. Największa część, łącznie z drzewem, dostała się wspólnocie z ulicy Marynarskiej 11/17. Oczywiście, natychmiast została ogrodzona - na razie tylko łańcuchem, uniemożliwiającym wjazd samochodów innych niż będące własnością mieszkańców bloku.

Na wiosnę ruszyły pierwsze prace, polegające - w założeniu - na wyrównywaniu terenu. Usunięto ruiny obmurowania od lat nieużywanej piaskownicy, błotniste klepisko wysypano żwirkiem... i splantowano kolejną część trawnika, na którym rosła topola, aż do podstawy drzewa. Trawnik ten był od lat systematycznie dewastowany, służył za składowisko materiałów i gruzu przy wszystkich pracach remontowych, a parkujące samochody zajmowały jego coraz większą część. Gdyby nie topola, już dawno by nie istniał. Teraz zniknął jego kolejny fragment, a korzeniami drzewa nikt się nie przejmował. *To drzewo jest i tak do usunięcia* - brzmiała wypowiedź mieszkańca bloku - *mamy już projekt ogrodzenia naszej części podwórka, bez żadnych dużych drzew*. Co istotne, na sygnały o niszczeniu zieleni nie zareagowała ani straż miejska, ani Wydział Ochrony Środowiska i Rolnictwa Urzędu Miasta Łodzi.

Projekt w istocie został złożony w urzędzie miasta. Miał on ubiegać się o dofinansowanie w ramach programu "zielone podwórka". Niestety, nie było możliwe zapoznanie się z nim. Urzędnicy odmówili wglądu w dokumentację, zasłaniając się... prawami autorskimi (*sic!*). Po wielu naleganiach, udzielili w końcu informacji, że wniosek przewiduje tylko *usunięcie dwóch krzewów-samosiejek i zabiegi pielęgnacyjne wobec zastanych drzew*. W tej postaci projekt został zakwalifikowany do dofinansowania z miejskiej kasy. Niestety, nie został on nigdzie opublikowany, mieszkańcy innych



domów przy bądź co bądź tym samym podwórku nie mieli możliwości wypowiedzieć swojej o nim opinii.

Z projektem udało się zapoznać dopiero w kilka miesięcy później, po zakończeniu prac. Ograniczył się on do zagospodarowania wąskiego pasa terenu wzdłuż chodnika przy bloku, natomiast cała reszta dotychczasowego skweru stanowiła na nim białą plamę. Topoli także na niej nie było.

Według słów projektantki, było to ściśle zgodne z zamówieniem: drzewo według zleceniodawców było *uschnięte i przeznaczone do wycięcia* (zamówienie składano jeszcze przed sezonem wegetacji), a podstawowym założeniem projektu był brak jakiegokolwiek zieleni poza wyznaczonym pasem. Nie przeszkodziło to urzędnikom miejskim ocenić go wysoce pozytywnie i skierować do realizacji.

Prace ruszyły pod koniec lata. W ramach *wycinania dwóch krzewów-samosiejek i pielęgnacji zastanych drzew na zielonym podwórku* usunięto - bez zezwolenia - cały rząd kilkunastoletnich drzew w południowej części terenu, kępę iglaków, zasadzonych niegdyś przez mieszkańców bloku, wszystkie krzewy pod oknem budynku i niewielkie drzewko, rosnące niedaleko chodnika. Z trawnika pod topolą nie zostało już nic. Będący w jakim-takim stanie trawnik wzdłuż alejki ogrodzono płotem, ułożono na nim chodniczki, wytyczono kilka rabat i posadzono dwa srebrne świerczki.

Obszar robót przylegał niemal do pnia topoli, jej korzenie bardzo przeszkadzały pracownikom. Poprzecinali je zatem (zapewne też w ramach *pielęgnacji*) piłami mechanicznymi. *To drzewo i tak jest do wycięcia* - brzmiała odpowiedź na zwróconą uwagę. W Wydziale Ochrony Środowiska i Rolnictwa nic wprawdzie nie wiedziano o tym, żeby nasze drzewo miało zostać wycięte, jednak nadal nie było reakcji na niszczenie zieleni.

### Zniszczone korzenie drzewa



Kilka z przeciętych korzeni miało naprawdę sporą grubość. Projektant założenia w ogóle nie wziął ich pod uwagę, a wykonawca - wybrany i nadzorowany przez administrację miejską - nie zawahał się przed niszczeniem zieleni.

20 listopada 2014 roku przyjechała ekipa z piłami. Po kilku godzinach topola, której pień miał już ponad cztery metry obwodu, wystarczająco do zakwalifikowania jako pomnik przyrody, przestała istnieć.

## ***Zezwolenie***

Okazało się, że ekipa, która wycięła topolę, zrobiła to jak najbardziej legalnie, posiadając zezwolenie z Wydziału Ochrony Środowiska i Rolnictwa Urzędu Miasta Łodzi. Wniosek o zezwolenie złożyli przedstawiciele zarządu wspólnoty mieszkaniowej, z pełnym błogosławieństwem administracji dzielnicy Łódź-Bałuty. Jako jeden z powodów konieczności usunięcia drzewa podawano fakt, iż jego korzenie niszczą chodniki. Było to zaraz po tym, jak podczas prac przy "zielonym podwórku" zaczęto niszczyć korzenie topoli.

Inne argumenty we wniosku były dokładnie takie jak poprzednio - topola rzekomo była spróchniała i zagrażała mieszkańcom oraz ich domom. Dołączono nawet opinię dendrologiczną w podobnym duchu. Autorzy opinii nie tylko nie powtórzyli badań pnia, co mogłoby zweryfikować ewentualne pogorszenie stanu drzewa, ale nawet nie obejrzelik dokładnie ani dziupli, ani uszkodzanych właśnie korzeni. Ocenili za to wiek topoli na podstawie rozmiarów na ponad sto lat, podnieśli rzekome zagrożenie dla budynków w *gęstej zabudowie mieszkalnej* i stwierdzili, że *mimo zastosowanych zabezpieczeń gałęzie i konary odłamują się*. Żadne z tych stwierdzeń nie odpowiada prawdzie: na podstawie liczby słoików wiek drzewa wyliczono ściśle na około 50 lat, jego położenie wyklucza wyrządzenie szkód budynkom, a jakiegokolwiek odłamanie gałęzi, nie mówiąc o konarach, nie miało w ciągu ostatnich trzech lat miejsca.

Wydział Ochrony Środowiska i Rolnictwa był w posiadaniu wszystkich danych, pozwalających ocenić wiarygodność opinii i całego wniosku. Dostał też sygnały o niszczeniu otoczenia drzewa na wiosnę i jego korzeni podczas ostatnich robót. Mimo to, wydana decyzja opierała się w pełni na otrzymanej - niezgodnej ze znanymi Wydziałowi faktami - opinii. Nie uznano nawet za stosowne powiadomić o postępowaniu osób zainteresowanych w poprzednich odsłonach sprawy, które z łatwością mogłyby podważyć argumenty zwolenników usunięcia drzewa.

### **Spóźniony dowód**



Przekrój pnia topoli w miejscu, które rzekomo było całkowicie wypróchniałe i groziło rozłamaniem drzewa. Oczywiście, można było sprawdzić to nieniszczącymi metodami - choćby za pieniądze, otrzymane od miasta na pielęgnację drzew.

Innym argumentem, na jaki powołano się w decyzji, było wcześniejsze wydanie pozwolenia na wycięcie topoli. Dziwny to argument, zważywszy, że wcześniejsze decyzje okazały się oparte na fałszywych przesłankach, niesłuszne i wystawiały raczej złe świadectwo wydającemu je urzędowi.

W świetle opisanych szczegółów projektu, znanych już na wiosnę i przedstawionych Urzędowi Miasta Łodzi jasne jest, że celem wnioskodawców nie było bynajmniej zlikwidowanie jakiegokolwiek zagrożenia bezpieczeństwa. Żadne realne zagrożenie nie istniało, celem było natomiast zlikwidowanie wszelkiej zieleni na terenie, który wspólnota mieszkaniowa od dawna chciała przekształcić w parking. Drzewo stało na przeszkodzie tym zamiarom, musiało więc zostać usunięte.

### ***Krajobraz po bitwie***

Kilka miesięcy temu skwer przy ulicy Komunardów był wprawdzie zaniedbany, lecz pełen zieleni. Jego wnętrze - oprócz klepiska rozjeżdżanego przez parkujące samochody - wypełniały trzy duże drzewa, kilka mniejszych, sporo krzewów i kępa drzewek iglastych.

W wyniku realizacji programu "zielone podwórka" z terenu zniknęło kilkanaście drzew i krzewów różnej wielkości, w tym topola o pomnikowych rozmiarach, niedawno skutecznie zabezpieczona staraniem miasta. Większa część placu została zamieniona w pustynię. Dawny trawnik ogrodzono wysokim na półtora metra płotem i obsadzono krzewami - niestety, nie posadzono wśród nich żadnego drzewa, które miałyby jakiejkolwiek szanse osiągnąć większe rozmiary. Dwa świerki, umieszczone w pobliżu budynku, na pewno takich szans nie mają. Z punktu widzenia architektury krajobrazu skwer został doprowadzony do ruiny.

#### **Przed i po realizacji programu "zielone podwórka"**



Kilka różnych ujęć terenu - przed (z lewej) i po (z prawej) wykonaniu prac "upiększających".



W kilka tygodni później cały teren dawnego skweru ogrodzono płotem. Publiczny dostęp do "zielonego podwórka", zagospodarowanego za publiczne pieniądze, został odcięty. Przegrodzono bramę, stanowiącą jedno z wyjść z sąsiednich bloków na ulicę. Ogrodzenie zaczyna się trzy metry od wyjścia z jednej z klatek schodowych innego bloku, pomiędzy schodami, trawnikiem a płotem zostało przejście o szerokości niecałego metra. Przy okazji odcięto położoną na parterze piekarnię od dostaw mąki, a lokatorzy kilku mieszkań w sąsiednim budynku, z których wyjście znajduje się na ogrodzonym terenie, muszą teraz obchodzić naokoło cały kwartał, żeby wyrzucić śmieci. Znacznie utrudniony jest dojazd do budynków przez straż pożarną czy pogotowie.

### Jak w Korei



Dwa rzędy zasieków bronią dostępu do kilku świerczków, zasadzonych za publiczne pieniądze

### Nie ma wyjścia na ulicę



Zagrodzona brama była kiedyś dogodnym przejściem do ul. Marynarskiej. Znajduje się w niej także wyjście z klatki schodowej - mieszkańcy muszą obejść cały budynek, żeby wyrzucić śmieci.

## Tędy dowożono mąkę



Zablokowany został dojazd do piekarni, której drzwi wychodzą na bramę. Mieszkańcom klatki obok pozostawiono niecały metr chodnika

Wszystko to odbyło się - tak jak i w innych miejscach osiedla - za zgodą właściciela terenu, czyli miasta Łodzi.

### ***Co dalej?***

Topoli nie można już uratować, ale skwer można byłoby jeszcze przywrócić do postaci przyjaznej dla wszystkich mieszkańców. Należałoby wykonać kilka, niezbyt kosztownych, prac:

- rozebrać wszystkie szatkujące przestrzeń ogrodzenia
- zrehabilitować zniszczone trawniki, otoczyć je krawężnikiem uniemożliwiającym niszczenie przez pojazdy
- miejsca parkingowe ograniczyć do obwodu skweru
- zasadzić ponownie rząd drzew , oddzielający strefę śmietnika od reszty terenu
- pośrodku trawnika zasadzić szybko rosnące drzewo liściaste, które mogłoby za kilkanaście lat osiągnąć znaczne rozmiary.

Zabiegi te leżą całkowicie w mocy właściciela terenu, jakim ciągle jest miasto Łódź. Wymagałyby tylko od urzędników odrobiny dobrej woli i dbałości o - aktualnie rujnowany - nasz wspólny teren.

Z doświadczenia wiemy jednak, że łódzcy urzędnicy, wynajęci wszak przez mieszkańców miasta do dbania o miejską własność, wykazują w tym względzie maksimum złej woli.

*Tekst i zdjęcia: Krzysztof Mnich*

*Łódź, 20 stycznia 2015r.*

*Fragmenty zapisane kursywą pochodzą z oficjalnych dokumentów i z wypowiedzi urzędników miejskich.*